Świat powieściowy.

Nr. 114 Tygodnik belletrystyczny. Rok III.

Po latach dwudziestu.

I.

— A teraz mój drogi, chodź i zobacz moją kancelarję adwokacką.

Armand d'Arçay wymówił te słowa z pewną dumą i naciskiem, co wywołało uśmiech sarkastyczny na usta jego przyjaciela i towarzysza lat dziecięcych, Jana Gérarda, którego oprowadzał od godziny po całym domu, zbudowanym w mieście Rennes, dla jego matki. Pokój, do którego weszli, był duży, kwadratowy, olbrzymie okno weneckie, oświetlało go doskonale, podwójne firanki, białe i zielone adamaszkowe, przyćmiewały zbytnią słońca jaskrawość, piękny dywan z prawdziwej angielskiej Moquette posadzkę zaścielał, meble zielone, aksamitne, uzupełniały urządzenie pokoju wspaniałe i w najlepszym guście.

Jan przyzwyczajony do pracowni paryskich, gdzieś na przedmieściu, zamieszczonych pod samym dachem, niby gniazdo puchacza, o ścianach nagich, popękanych, z oknami niedomykającemi się najczęściej, z kilkoma staremi, wyplatanemi krzesełkami, i jednym lub dwoma tapczanami, w których spi się w nocy, a używa w dzień zamiast kanapy, Jan patrzył bez zazdrości, bo na to uczucie nikczemne był nadto szlachetnym, ale ze ździwieniem niemal, ile to gracików potrzeba takiemu bogatemu paniczykowi, gdy oni, biedni *Rapin* paryscy, prócz niezbędnego ubrania, umieją obejść się bez wszystkiego, jak prawdziwi filozofowie.

Nie mogli dość się sobą nacieszyć. Tyle mieli do opowiadania, tyle przeżyli przez lat piętnaście. Byli dziećmi gdy nawzajem widywać się przestali.

Ranka pewnego, pani d'Arçay, całując w czoło syna na dzień dobry, szepnęła głosem wzruszonym:

— Czy wiesz Armandzie? Wczorajszą pocztą wieczorną Jaś odjechał!...

Dziecię wypuściło z rąk zabawkę, pierś podniosła mu się łkaniem bolesnem, i cały we łzach rzucił się matce na szyję.

— Niezapomniałem dotąd o tobie, moim najlepszym, najukochańszym towarzyszu! — Armand opowiedziawszy owo wydarzenie, uściskał znowu serdecznie przyjaciela. — Pamiętam jakeś już wtedy okazywał talent do rysunku i jakich tęgich wojaków dla mnie komponowałeś. Wiedziałem, żeś dostał stypendjum gdzieś na drugim końcu Francji, jako syn wyższego i zasłużonego oficera... nigdy się jednak nie spodziewałem, że cię ujrzę po tylu latach w naszem mieście rodzinnem.

— Oh! nie myśl, żem się stęsknił za tem gniazdem!... Wyjąwszy wakacji, które spędzałem z łaski twoich rodziców na wsi razem z tobą, w ich pięknym parku, pierwsze lata moje sieroce były tak smutne, tyle tutaj doznałem przykrości, poniewierki, niesprawiedliwości, iż w sercu gorzkie, bardzo gorzkie wspomnienie te lata zostawiły. Jedna z ciotek, dręcząca i bijąca mnie niegdyś, była na tyle sumienną, iż mi przynajmniej po śmierci zostawiła czem łzy otrzeć. Po ten mały spadek przyjechałem, a skoro dopełnię niezbędnych formalności, uciekam do Paryża, gdzie spodziewam się i ciebie wkrótce zobaczyć. Nie wytrzymasz długo w tej dziurze na prowincji. Jakie ty tu możesz mieć sprawy?! Będziesz wiódł życie nudne, bez interesu wyższego, bez rozgłosu, bez wymarzonych ideałów, bez porywów namiętnych . . . będziesz jednem słowem wegetował tylko . . .

Armand uśmiechnął się znacząco.

— Czuję się tu zupełnie szczęśliwym i nie myślę bynajmniej z Renne wyjechać.

Malarz spojrzał mu bystro w oczy. Nie trudno zresztą było czytać w tej pięknej duszy, która odbijała się niejako w dużych, łagodnych, czarnych źrenicach.

— Tak to co innego! — odrzucił tonem żartobliwym. — Skoroś zakochany... nie ma o czem i mówić!

— Tego przecież nie powiedziałem! — bąknął Armand poczciwy, spłonąwszy rumieńcem.

— Jeżeliś mi się dotąd nie przyznał — żartował Jan dalej — zdradziła cię twarz własna. Popatrz jakiegoś spiekł raka!

— Głównym powodem — Armand mówił teraz prawie uroczyście — jest matka moja, z którą nie potrafiłbym się rozłączyć, a ona znowu nie chciałaby żyć gdzieindziej. Kazała umyślnie zbudować ten piękny pałac, trochę dla siebie, ale więcej dla mnie, bo ona jak wiesz, najchętniej mieszka na wsi, w naszym zamku w Mesnil. Zamek ma dla niej wiele uroku... tyle wspomnień roskosznych i boleśnych!...

Milczenie zapanowało. Armanda głos drżał przy

słowach ostatnich, i oczy się mu zamgliły. Jan zmięszany nie śmiał przemówić, zdawał się tylko wzrokiem badać przyjaciela. Zdobył się wreszcie na odwagę i zapytał wahająco:

— Nie mówiłem dotąd o twoim ojcu. Nie śmiałem budzić wspomnień tak bolesnych... Wszystko skończone, nieprawdaż?...

— Wszystko!.. Biedny mój ojciec spoczął nareszcie snem wiecznym, przed dwoma laty, po strasznej agonji, trwającej lat piętnaście!... Do końca nie poznawał ani mnie ani matki!...

— Dotąd stoi mi w oczach twój ojciec. Sztywny, małomowny, postawy imponującej, z okiem czarnem, które niby ostrze stali na wskroś przenikało, dreszczem przejmując. Nigdy nie zapomnę, jak dnia pewnego wpadłem do ciebie, mając pełne kieszenie kulek szklannych. Nagle porwał mnie za ramię, ścisnął kolanami, które wydały mi się twardemi jak kleszcze, i zaczął indagację tak szczegółową, zasypał mnie pytaniami tak różnorodnemi, a tak szybko po sobie następującemi, iż w końcu płaczem wybuchnąłem i przyznałem się, żem ukradł kulki... chociaż Bóg świadkiem, kupiłem je najuczciwiej za pieniądze w sklepiku.

— Tak — Armand uśmiechnął się smutno — ojciec mój miał być jako sędzia kryminalny niezrównanym!... Ten zapał nadto wielki... ta praca gorączkowa podczas każdego procesu ważniejszego... zabiły go przedwcześnie!

Odgłos dzwonu, rozlegający się po całym pałacu, przerwał rozmowę.

— Śniadanie! — zerwał się Armand z fotelu, biorąc pod ramię przyjaciela. — Chodźmy!... Czy cię też pozna moja matka... Że się tobą ucieszy serdecznie, o tem nie wątpię.

— A i ja z radością prawdziwą ręce jej ucałuję... Ona jedna po macierzyńsku zawsze mnie w czoło całowała!...

II.

Zastali panią d'Arçay w obszernej sali jadalnej na dole. Nie była samą. Piękna, młoda osoba, układała kwiaty w dużym, chińskim wazonie. Odwróciła ku wchodzącym główkę bujnemi warkoczami okrytą, i poczerwieniała z radości spostrzegłszy Armanda.

— Do djabła! — cmoknął Jan szepcąc sam do siebie. — A to ma gust nie lada mój przyjaciel!

Trudno bo też byłoby wyobrazić sobie istotę milszą, łagodniejszą i więcej gracji posiadającą w każdym ruchu, od Walentyny de Trameillan, i Jan mógł szczerze powinszować przyjacielowi, iż potrafił zyskać jej miłość.

Jednym rzutem była już przy drzwiach, i schwyciła z czułością niekłamaną obie dłonie Armanda. Cofnęła się spłoszona widokiem nieznajomego, i tym razem szkarłatem wstydu się oblała.

— Pozwól pani przedstawić sobie mojego najdawniejszego i najlepszego przyjaciela... towarzysza lat dziecięcych. Jan Gérard raczy u nas zamieszkać przez dni kilka, które ma w Renne przepędzić...

A zwróciwszy się do młodego malarza, dodał głosem drżącym od wzruszenia wewnętrznego:

— Panna de Trameillan, moja narzeczona!

W tych prostych słowach było tyle uczucia prawdziwego, iż Jan poczciwy został niemi do głębi przeniknięty. Był to jeden z tych chłopców zacnych i naiwnych, którzy padają niemal na kolana z wielkiego uwielbienia dla miłości szczerej, skoro im się uda spotkać z nią na świecie. Tym razem był pewnym, iż tych dwoje szczęśliwych, kochają się całem sercem.

— Pani! — uśmiechnął się całując różowe paluszki, które mu podano po angielsku. — Miałbym powód wyłajać Armanda na samym wstępie. Od dwóch godzin gawędzimy o tem i owem, a nie powiedział mi tego, co go powinno najwyżej interesować.

— Nie wspomniał panu dotąd o mnie, czy tak?...

I pogroziła Armandowi figlarnie paluszkiem.

— Chciałem mu zrobić tem milszą niespodziankę — tłumaczył się obwiniony.

— Przyznaj się pan raczej, żeś nieśmiały, ale to jak pensjonarka! — śmiała się wesoło Walentyna.

— Nie śmiem uwierzyć w nadmiar szczęścia, to prawda! Nie śmiem odezwać się z tem głośno, iż chcesz wkrótce zostać moją żoną. Dotąd nie oswoiłem się z tą myślą, wydaje mi się snem złotym, jakimś wypadkiem cudownym, który trudno aby się ziścił...

Armand drżący i zmięszany istotnie, spuścił oczy, nie ruszając się z miejsca.

— A ja nie boję wyznać wszem wobec, że pana kocham! — zawołała Walentyna kładąc mu pieszczotliwie dłonie na ramiona. — Deklaracja dobitna, co?... Wierzysz teraz w szczęście? Czy jeszcze będziesz się lękał przyznać do mnie przed swoimi przyjaciołmi, czy będziesz śmiał zaprzeć się naszej miłości?!

Za całą odpowiedź Armand porwał obie dłonie ukochane, i namiętnie ucałował, a Jan powtórzył sobie w duchu „że jego przyjaciel w czepku się urodził, kiedy potrafił zyskać miłość takiej lubej i czarującej istoty".

— Wszystko to bardzo pięknie moja parko rozkochana! — zbliżyła się pani d'Arçay z drugiego końca sali z uśmiechem łagodnym — ale gdybyśmy tak porzucili na chwilę poezję, a wzięli się do prozy, to jest do śniadania, które stygnie? Witam cię panie Gérard, witam serdecznie! Ci zakochani tak cię sobą zajęli, żeś o mnie całkiem zapomniał.

Jan zawstydzony tłumaczył jak mógł zapomnienie. W rzeczy samej tak go olśniła postać urocza Walentyny, iż reszty świata nie widział przed sobą. Przebaczono mu z łatwością, i nawet otrzymał od dobrej pani d'Arçay przyrzeczenie, iż zostanie u niej nadal Jasiem, i że po macierzyńsku w czoło go pocałuje, co też zaraz wykonała.

Śniadanie odbyło się nadzwyczaj wesoło. Po śniadaniu pani d'Arçay z Walentyną przeszły do salonu,

gdzie miały przyjąć jakąś damską wizytę, młodzi zaś przyjaciele wyszli do ogrodu wypalić cygaro.

Zaledwie zeszli ze schodów od werandy, gdy ujrzeli spieszącego ku nim służącego.

— Czego chcesz Babtysto? — spytał Armand.

— Jest tam ktoś, który chce mówić z panem — odrzekł stary sługa z pewnem wahaniem, wskazując nieznacznie na bramę żelazną. Po za kratą pozłacaną widać było migającą jakąś postać ciemną i niewyraźną.

— Proś niech wejdzie.

— Kiedy bo...

— Cóż takiego?

— Ten ktoś tak dziwnie wygląda.

— A czego potrzebuje?

— Chciałby się z panem widzieć względem jakiejś sprawy... procesu...

— Ho! ho! — wykrzyknął Armand radośnie. — Zapowiadają mi pierwszego klienta! Czy rozumiesz drogi przyjacielu, jaki to urok ma pierwszy klient dla poczynającego adwokata?

— Doprawdy?! — zbliżył się i Jan zaciekawiony, który był trochę w tyle pozostał, i cichej zapowiedzi Babtysty nie dosłyszał. — Kto też pierwszy zasiądzie w pysznym owym zielonym fotelu, pod surowem spojrzeniem Demostenesa? Czy przynajmniej jaki klient obiecujący? — i zrobił ruch ręką, jakby pieniądze na dłoni rachował.

Stary Babtyst z miną skrzywioną, wzruszył miłosiernie ramionami.

— Nie?... tem gorzej!... Zresztą pan d'Arçay dzięki Bogu, nie potrzebuje oglądać się na szelągi klientów.

Brama skrzypnęła i jakiś człowiek wszedł do ogrodu. Widocznie sprzykrzyło się czekać klientowi.

— Hm! hm! — chrząknął Jan, rzuciwszy okiem na wchodzącego. — Na szczęście słońce świeci i nie znajdujemy się w leśnej gęstwinie... jaka twarz straszna! Winszuję ci Armandzie — zmierzył powtórnie oczyma nieznajomego. — Sprawa kryminalna, wytaczająca się przed ławą przysięgłych, wcale co innego niż proces cywilny, gdzie wszyscy śpią... począwszy od sędziów i adwokata... Ława przysięgłych! w to mi graj... frazesy patetyczne! wielkie namiętności! wielkie zbrodnie! ma się przynajmniej pole do popisu!... Do djabła, szkoda, że nie zostałem adwokatem!

Jan świsnął laseczką w powietrzu i głową potrząsł żałośnie.

— Przyjmę tego człowieka na każdy sposób — Armand przerwał przyjacielowi słów potok, uśmiechając się dobrodusznie. — Panie atoli widzieć go nie potrzebują. Mógłby je naprawdę poprzestraszać. Wprowadzisz go do mojej kancelarji bocznemi wschodami.

Babtysta odszedł rozkaz wypełnić, Armand zaś przeprosiwszy przyjaciela, iż go musi na chwilę opuścić, pobiegł szybko na górę przyjmować swojego pierwszego klienta!

III

Zaledwie usiadł Armand przy biurku, gdy Babtysta drzwi otworzył, wpuścił do pokoju nieznajomego, i oddalił się drzwi napowrót dyskretnie przymknąwszy.

Nieznajomy zatrzymał się na progu. Oglądał się wkoło okiem błędnem, jakby bezprzytomnem Czuł widocznie potrzebę myśli rozpierzchłe pozbierać. Przychodził z daleka, a musiał iść piechotą, o czem świadczyło ubranie zużyte i okropnie zakurzone.

Armand skinął ręką, fotel mu wskazując. Nie zdawał się uważać tego zaproszenia.

— Usiądźcie mój przyjacielu — przemówił młody adwokat, uderzony tem dziwnem postępowaniem.

Człowiek zagadkowy jakby wracał powoli do przytomności, zdjął z głowy kapelusz połamany, obtarł czoło uznojone, a złożywszy kapelusz na kiju sękatym w kącie przy drzwiach, postąpił naprzód i usiadł na brzegu krzesła.

Chciał przemówić, nie mógł jednak dobyć głosu, tak mu zaschło w gardle. Ręką drżącą popuścił rodzaj czarnej krawatki, okropnie rudej i w sznur skręconej i pokazał na migi, że napił by się czego.

Gdyby podobne indywiduum pojawiło się u innego adwokata, zostałoby na pewno za drzwi wyrzucone. Armand atoli był na początku zawodu, miał przytem serce złote, ten człowiek był jego pierwszym klientem, sprawa przedstawiała się tak dziwacznie i tajemniczo, że tem samem drażniła jego ciekawość.

Wstał, z bocznego stoliczka wziął butelkę z winem, zmięszał w szklance dużej, kryształowej z wodą i podał nieznajomemu. Ten wychylił do dna jednym tchem, i głosem słabym, drżącym, szepnął:

— Dzięki stokrotne!

— Teraz powiedźcież mi przyjacielu, czego właściwie odemnie żądacie? — Armand usiadł napowrót, przysuwając się bliżej do szczególnego klienta.

Biedny człowiek zrobił nadludzki wysiłek i tym razem słów kilka wyszło z bladych ust jego. Głos atoli był tak głuchy, tak złamany, iż Armand musiał nad nim się pochylić, aby zrozumieć o co idzie.

— Panie! — zaczął nieznajomy — udaję się do ciebie, aby za pańskiem pośrednictwem uzyskać sprawiedliwość. Nie idzie tu o sprawę codzienną, pospolitą. Nie jestem wieśniakiem, pozywającym sąsiada o cielaka, który miedzę przeskoczył, lub o kurę zabitą patykiem na grzędzie. Nie jestem również, jakby pan mógł sądzić po mojem nędznem okryciu, pierwszym lepszym włóczęgą, na którego czyhają żandarmi... Jestem panie człowiekiem uczciwym, który lat dwadzieścia przepędził na galerach i który żąda zadośćuczynienia za krzywdę mu wyrządzoną. Niewinnie skazany, chcę być w opinji zrehabilitowanym.

Ton głosu głuchy zrazu, stawał się coraz donośniejszym. Wyrazy ostatnie wymówił z naciskiem, podniósł się nawet cokolwiek na krześle i uderzył energicznie pięścią ściśniętą po biurku.

Armanda wstęp niezwykły trochę wzruszył, a wię-

cej jeszcze zaintrygował. Kim jest ten człowiek i jaką mu historję opowie? Mimo młodości i niedoświadczenia, wiedział, iż wszyscy zbrodniarze przysięgają wiecznie i nieodmiennie, iż są niewinni jak dziecię nowonarodzone, i że jest u nich w zwyczaju oskarzać sędziów, iż wydali wyrok niesprawiedliwy. W tym jednak wypadku, twierdzenie było dziwnie jasne i robiło wrażenie prawdy niezbitej.

Nieznajomy zresztą zdawał się przewidywać wątpliwość adwokata.

— Chcę zainteresować pana szczerze moją sprawą — mówił dalej. — Uwierz, błagam! w prawdę słów moich... Jeżeli byś nie raczył, lub nie mógł wysłuchać prośby mojej, powiedz mi pan to otwarcie. Poszukam innego adwokata. Muszę jednak uzyskać sprawiedliwość. Przybyłem tutaj, ani na chwilę nie spocząwszy. Zrobiłem piechotą mil dziesięć, wśród duszącej kurzawy w upał letni, nie jadłem prawie i nie piłem przez drogę, choć upadam z głodu i pragnienia. Nie dowiedziałem się nawet w okolicy, czy żyje dotąd mała dziewczynka moja, którą wówczas w kolebce zostawiłem. Kazałem sobie najpierw wskazać jakiego adwokata. Tu mnie zaprowadzono. Nie spytałem o nazwisko, tak mi pilno było rozmówić się z panem. Dzień, na który czekałem przez lat dwadzieścia... czy słyszysz pan?... przez lat dwadzieścia!... nadszedł przecie. Zdaje mi się, iż udowodnię moją niewinność... iż wrócą mi cześć straconą... iż potrafię zapomnieć o boleściach przebytych. Tak panie, tak! Możesz to wszystko zdziałać... możesz mi dać więcej niż życie. Wysłuchaj mnie, ulituj się nademną, nie obchodź się ze mną mimo pozorów, jak z nikczemnym włóczęgą. Przysięgam panu, że pod łachmanami nędzarza, pod postacią wstrętną i odpychającą, ukrywa się człowiek uczciwy, a ten człowiek nieszczęściem skołatany, błaga cię o pomoc na kolanach!

Szybkim ruchem zatrzymał go Armand na krześle, wpatrując się bacznie w tę twarz bladą i zmarszczkami przedwcześnie pooraną. Nieznajomy wzruszył go do głębi, bał się jednak rozrzewnienia mimowolnego, nie chciał, aby w obec tej boleści tak na pozór prawdziwej, serce brało u niego przewagę nad rozumem. Trzymał się więc ostro na wodzy. Był wychowanym w takim poszanowaniu władzy, przykład ojca świecił mu dotąd jak pochodnia niewzruszonej i nieomylnej sprawiedliwości, iż nie mógł przypuścić tak grubej omyłki w sądownictwie.

Nieznajomy powstał z trudnością i głową smutno potrząsając, wzrokiem zdawał się go na wskroś przenikać. Westchnął ciężko.

— Ah! panie! — rzekł z goryczą po chwili milczenia. — Jak to trudno nieszczęśliwym wzbudzić wiarę... uzyskać współczucie... Wiedziałem zresztą naprzód, jakie napotkam przeszkody... trudności... Czyż nie nasłuchałem się przez lat dwadzieścia, jak wszyscy moi towarzysze na galerach utrzymywali, że są niewinni i tylko pomyłce sędziów zawdzięczają wyrok na więzienie ich skazujący!

— I ja wiem o tem — potwierdził Armand z miną człowieka, który ma się na baczności i nie da się tak łatwo w pole wyprowadzić.

— Co do mnie jednak pomylili się najhaniebniej! — zawołał nieznajomy. — Przysięgam na zbawienie duszy, żem niewinny, żem nieszczęśliwy, i że mam prawo do pańskiej litości.

— A więc... opowiedz mi pan swoje dzieje. — Armand pokonany skinął ręką, opierając się wygodnie o poduszki fotelu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Tajemnice wielkiego świata.

WOLNY PRZEKŁAD Z FRANCUZKIEGO.

(Ciąg dalszy).

XVII.

Wewnątrz oberża pod Sową wyglądała jeszcze bardziej ponuro jak zewnątrz.

Izba niska, odymiona, o jednem oknie, w którem szyby potłuczone oklejone były tłustym papierem. Na środku stały dwa brudne stoły, na nich zaś jakaś polewka kipiąca, kilka krzeseł, w kącie komin, na ścianie strzelba, w głębi wielka alkowa, w niej trzy łóżka, ot i całe umeblowanie.

Przy ogniu siedziała Klara Balthazar, robiąc pończochę i mrucząc.

Dwaj jej synowie młodsi, Jan i Michał, palili fajki, patrzyli na siebie i wzruszali ramionami.

Sowa białawo siwa z kołnierzem żółtym, przechadzała się poważnie po nierównej podłodze chałupy.

— Tak — mówiła Klara Balthazar — jeden tylko Szymon wart coś między wami. Można rachować na niego, podczas gdy na was...

— Matko — odpowiedział Michał, który był najmłodszy -- Szymon ani razu nie spisał się tak gracko jak ja wówczas...

— To prawda — odrzekł Jan — a jednakże matka zawsze najlepiej z nas kochać będzie Szymona.

— Ot masz się z czem chwalić, co zrobiłeś przed dwoma laty! — mruczała stara z gniewem. — O mało nas to wiele nie kosztowało...

— Przecie to nie moja wina!... Człowiek, który miał nam zapłacić, nie odziedziczył majątku. Gdyby nie to, ładną sumkę bylibyśmy otrzymali.

Klara Balthazar spojrzała wzrokiem dzikim na syna.

— Mieliśmy jeszcze szczęście — rzekła — że myślano, iż sam się zabił.

— A tak — odrzekł Jan.

— Gdyby byli poznali, że został zamordowany, na nikogo innego nie padłoby podejrzenie, tylko na nas.

— To z pewnością.

— I skończylibyśmy na szubienicy — zaśmiała się stara szyderczo.

— Co do mnie — odezwał się Jan — nie wiedziałem o niczem. Michał jest skryty i nigdy nic nie powie. Ale chciałbym przecie wiedzieć, jaki też układ zrobił z Paryżaninem?

— Nie robiłem wcale układu — odpowiedział Michał.

— Jakto? — zawołali razem Klara Balthazar i Jan.

— A cóż, chciałem także coś zarobić! — mówił dalej Michał. — Szymon i Jan dali się już poznać, ja tylko jeden zjadałem daremnie chleb w domu, czasem tylko zkłusując jaką zwierzynę. Kończyłem już lat ośmnaście, a nic jeszcze nie zrobiłem. — Tak trwać dłużej nie może! — pomyślałem sobie. — Szkoda, że jestem synem ojca Balthazara i matki Klary! Nie mogę przecież żyć tak głupio jak najzwyklejszy śmiertelnik! O! a ja miałem pragnienia...

— To pozwolone — odezwał się Jan.

— Czekałem tylko na sposobność — ciągnął dalej Michał. — Pewnego dnia wybrałem się do moich sieci w lasach de Planche-Mibray. Było to w zimie i masa było bekasów. Wszystkie moje sieci były pełne. Gdy wstawałem, ktoś mię uderzył po ramieniu; obracam się i chciałem uciec. Ale ręka silna mię trzymała. Byłto Paryżanin, siostrzeniec zamku, jak go nazywano. Chwycił mię za rękę, a nogą przytrzymał strzelbę.

— O puść mię pan — zawołałem. — Jestem mocniejszy od ciebie!...

Rozśmiał się.

— Głupcze! — odpowiedział mi. — Czy masz mię za strażnika! Cóż mię obchodzą kłusownicy! Możesz zabrać swoje bekasy. Są one mego wuja a nie moje. A gdyby były moje...

— Wytoczyłbyś mi pan może proces? — rzekłem do niego śmiejąc się.

— Może... — i Paryżanin znów się uśmiechnął.

— Czy ty należysz do familji Balthazarów — zapytał mię.

— Tak panie.

— Nie macie zdaje mi się dobrej opinji?

— To tylko złość ludzka!

— Wierzę ci — odrzekł, i spojrzał na mnie w sposób dziwny, który dał mi wiele do myślenia. Potem nagle dodał:

— Zupełnie ci wierzę, że to tylko przez złość tak mówią i gdyby głupi mój wuj nie był się żenił, ja zostawszy kiedyś właścicielem zamku, byłbym wynajął wam młyn i oberżę w Coulanges.

— Czy mówisz pan prawdę? — zapytałem.

— Z pewnością. Ale to nie prowadzi do niczego. Wuj mój się ożenił. Może mieć dzieci... I chyba gdyby mu się jakie nieszczęście przytrafiło... na polowaniu... lub gdzieindziej...

Powiedziawszy to odszedł rzuciwszy mi sto sous.

— Widzę z tego, że byłbyś zadowolony ptaszku, gdybym ci sprzątnął twego wuja! — pomyślałem, i wiecie resztę.

— Milcz! — zawołała Klara Balthazar gwałtownie — ktoś nadchodzi.

— To Szymon powraca.

— Być może — odrzekł Jan — ale nie sam, bo słyszę dwa głosy.

W tej chwili drzwi się otwarły i wszedł Szymon wraz z starym galernikiem.

— Matko — ozwał się Szymon — przyprowadzam kolegę, który przychodzi z daleka.

— Ach! — odrzekła Klara Balthazar, spojrzawszy pogardliwie na łachmany starca. — Trzymamy oberżę, to prawda, ale tak mało mamy dochodu, że ledwie na liche pożywienie wystarcza...

— Trochę mleka i chleba, wystarczą mi — odpowiedział Fanfreluche.

Stara popatrzyła na syna, jak gdyby mówić chciała:

— Czy warto sprowadzać podobnych podróżnych?

Szymon zrozumiał, gdyż odrzekł śmiejąc się:

— Matko, przyprowadzam kolegę, wiesz, z tamtąd.

Na te słowa Klara drgnęła.

— To przyjaciel ojca — dodał Szymon.

Ale wrażenia, jakiego się spodziewał, nie wywarły te słowa.

Klara zamiast przyjąć z radością starca, spojrzała na niego z nieufnością i rzekła do syna:

— Wiesz dobrze, że nas już kilka razy wyprowadzono tak w pole, i że ludzie, którzy mówili, iż wracają z tamtąd, byli szpiegami przebranymi, przychodzącymi w zamiarze wywiedzenia się czegoś.

— Jestem pewny, że ten nie jest szpiegiem.

— Ja dopiero wtenczas bym uwierzyła — mówiła dalej stara — gdyby dowiódł, iż powraca z tamtąd.

— To bardzo łatwo — odpowiedział Fanfreluche śmiejąc się — spojrzcie tylko na moje taczki.

I opowiedział w krótkości, jak udało mu się uciec z galer, i jak szedł z Toulonu popychając ciągle taczki przed sobą, i to oddalało wszelkie podejrzenie i że nie raz w drodze przebywał w szynku razem z żandarmami.

Klara słuchała z nieufnością, ale powoli czoło jej się rozjaśniało.

— I ty — rzekła nagle — znasz mego starego?

— Tak.

— Jakże się ma biedaczysko?

— Był zdrów gdyśmy się rozłączali.

— A on nie mógł umknąć?

— Nie — odrzekł Fanfreluche westchnąwszy.

— A jednakże ty uciekłeś przecie.

— Bo ja zostałem w Toulonie.

— A on — zapytała niespokojnie — gdzie jest?

Fanfreluche schylił głowę.

— W Kayennie — odpowiedział.

Stara zbladła, krzyknęła, a potem zaczęła gorzko płakać.

— Więc nie zobaczę go nigdy! — wołała łkając.

Fanfreluche dał się jej wypłakać, a i trzej synowie

uszanowali chwilę tę boleść dziką.

Nareszcie Szymon odezwał się:

— Matko, przytem nieszczęściu spotyka nas szczęście.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytała stara.

— Ojciec zrobił dla nas testament — mówił dalej Szymon.

— Co ty tam bajesz? — odezwał się Jan.

— Dawno już przepuściliśmy jego pieniądze — mruknął Michał — a przynajmniej wy, bo ja byłem za mały, i nic mi się z tego nie dostało.

— Dostaniesz z drugich — odrzekł Szymon.

Dwaj synowie i stara spojrzeli źdźiwieni.

Wtedy Fanfreluche opowiedział im to, co mówił Szymonowi.

Był to balsam zbawienny na boleść Klary.

— A! stary kanalja! — zawołała stosując to do swego męża — miał pieniądze i ukrywał je przed nami do ostatniej chwili. Kiedy tak, niech zginie tam w Kayennie na żółtą febrę, nie głupiam go żałować i płakać po nim!

— A gdzie te pieniądze? — zapytał Michał.

— W lesie de Frettoye...

— A wiecie w którem miejscu?

— Będę wiedział, jeżeli mi pokażecie to drzewo, pod którem znaleźliście tamte pieniądze. Jeżeli mnie tam zaprowadzicie, wnet wam wskażę miejsce, gdzie są ukryte.

— Dobrze — rzekła stara — po wieczerzy zaraz pójdziemy.

— Jak chcecie — odpowiedział Fanfreluche.

Wieczerza była wkrótce gotowa i wszyscy razem do niej zasiedli.

. . . .

W dwie godziny potem noc już była ciemna i deszcz mocny zaczął padać.

— Nikt nam nie przeszkodzi — ozwała się Klara Balthazar. — Czas jest okropny i pewnie żadnego kłusownika nie ma w lesie.

Michał i Szymon należeli do wyprawy. Jan został pilnować domu.

Fanfreluche i stara szli naprzód. Michał nachyliwszy się do Szymona szepnął:

— Matka może miała słuszność przed chwilą...

— Co mówisz? — odezwał się Szymon.

— A gdyby ten mniemany galernik był szpiegiem?...

— Et! pleciesz!

— Może chce wprowadzić nas w jaką zasadzkę?...

— Ja mu jakoś wierzę — odrzekł Szymon.

— Ja także — mówił Michał — ale na każdy wypadek mam strzelbę nabitą.

— Ostrożnym nigdy być nie zawadzi — zaśmiał się Szymon i poszli dalej.

W drodze zapytała Klara galernika jak się też nazywa.

— Fanfreluche — odpowiedział.

— To ty jesteś tym kuglarzem, skazanym w Auxerre?

— Tak, to ja.

— Więc ty zabiłeś pana de Maugeville?

— Tak — odpowiedział stary, któremu oczy zabłysły.

— A wiesz, że Maugeville to tak jak żaby — ciągnęła dalej Klara Balthazar — padają jak z deszczem. Znów jest jeden.

— A! doprawdy, jest znowu jeden?...

— Tak, bratanek tego, którego zabiłeś. Piękny chłopak, dalibóg! i ma się żenić niedługo.

— Z kim? — zapytał Fanfreluche obojętnie.

— Z panią zamku de Planche-Mibray... Prześliczna kobieta i ma grube pieniądze... Ale co ci to takiego mój stary?

Klara Balthazar uczuła, że ręka starca zadrżała. Nogi zachwiały się pod nim, i gdyby było jasno, stara dostrzegła by była że zbladł jak chusta.

— To nic — odrzekł — świeże powietrze... jestem znużony... wybaczcie. — I siląc się gwałtownie pokryć wzruszenie, dodał:

— Dalej w drogę! musimy odnaleźć nasze pieniądze matko Balthazar!

XVIII.

Noc była czarna, deszcz zaczął lać jak z cebra. Ale Szymon szedł naprzód i drogę wskazywał, a nie daremnie był kłusownikiem od dziecka, bo znał najdokładniej cały las Frettoye.

Prowadził ich ścieżką po pod las, potem dalej koło bagien, wreszcie weszli w gęstwinę i zbliżyli się do małej łączki, w pośród której wznosił się słup z ośmioma ramionami.

Nazywano to miejsce rozdrożem, gdyż ośm dróg prowadziło w różne strony.

Przybywszy tam zatrzymał się Szymon.

— Czy jesteś pewny mój chłopcze — zapytała Klara Balthazar — że nie wycięto tu nic od lat dwudziestu?...

— Wycinali las ale nie w tej części matko.

— Więc myślisz, że drzewo nasze stoi?

— Bezwątpienia.

— Musimy się skierować na tę ścieżkę. Drzewo, pod którem znaleźliśmy tamte pieniądze, jest trzecie na lewo.

I ruszyli w drogę.

Stary galernik już nic nie mówił. Szedł za nimi ale nie zajmowało go wcale to poszukiwanie pieniędzy. Myśl jego była gdzieindziej, odkąd stara powiedziała mu, że mówią w okolicy o blizkiem małżeństwie pani de Planche-Mibray z młodym Maugeville.

Klara Balthazar szła już teraz naprzód pewna siebie.

Prowadziła brzegiem fosy, a oko jej przenikało ciemności nocne, jak oko sowy lub nietoperza. Zatrzymała się nareszcie i rzekła:

— To tu być musi.

Szymon zbliżył się, stanął u stóp drzewa, spojrzał na prawo i lewo, i rzekł:

— Tak, to tutaj. Poznaję drzewo. Teraz stary kolej na was.

To wezwanie wyrwało starca z zadumy.

Podniósł głowę, zbliżył się do drzewa i rzekł do Szymona.

— Twój ojciec powiedział mi, że w prostej linji od tego drzewa, w kierunku folwarku de la Roche, odrachowawszy dwadzieścia dwa kroków, znajdziecie to miejsce.

— A! tak wam powiedział ojciec?

— Tak, ale nie wiem, gdzie jest folwark de la Roche.

— Wy go nie widzicie — rzekł Szymon — ale ja, co mam oczy kocie, założyłbym się, że gdybym strzelił, wpakowałbym kulę w oparkanienie podwórka.

— Więc widzisz folwark? — zapytała Klara.

— Musi być w prawej linji od tego tu grubego dębu.

— Dobrze.

— Stańcie za mną stary — mówił dalej Szymon zwracając się do galernika — i idźcie za mną rachując kroki.

Fanfreluche zastosował się do wskazówek Szymona.

Stara szła obok galernika. Michał oprócz strzelby wziął także ze sobą motykę.

W miarę jak liczba kroków rachowanych przez Fanfreluche'a zwiększała się, starej i jej synom serce coraz biło gwałtowniej.

— Dwadzieścia dwa — rzekł nareszcie Fanfreluche i stanął.

Szymon się obrócił. W miejscu tem nie było drzewa.

— Ciężką będziemy mieli robotę — mruknął Michał, który ciągle jeszcze niedowierzał starcowi.

— Dlaczego? — zapytała stara.

— No, bo drzewo może być pewną wskazówką, podczas gdy na wolnem miejscu wystarczy skierować się trochę na prawo lub lewo, a zamiast skarbu wykopie się zwykłą dziurę.

Szymon schyliwszy się zaczął dotykać ręką ziemi błotnistej, okrytej gdzieniegdzie trawą i nagle zawołał:

— To pewno tutaj!

— Myślisz?

— Tu niema drzewa ale było. Scięte zostało; jest tylko pniak. Patrzcie.

Wistocie ścięto dąb w tem miejscu, i musiało to być niezbyt dawno, gdyż pniak jeszcze nie był zbutwiały.

— Jeżeli tu, obaczmy! — odezwał się Michał.

I zaczął kopać motyką na około pniaka, który wzruszył trochę.

Trwało to z dziesięć minut.

Minuty te zdawały się wiekiem Klarze i jej synom.

Co do starca Fanfreluche, ten zagłębił się w czarnych marzeniach, i myślał o pani de Planche Mibray.

Przez ten czas Michał wykopał jamę dość głęboką i nagle motyka jego uderzyła o coś twardego, co wydało dźwięk metaliczny.

Serce zabiło wszystkim i Michał przestał kopać wzruszony.

— Czuję jak gdyby pot zimny — odezwał się.

— Wstydź się tchórzu! — zawołał Szymon.

Michał rzucił motykę i włożył ręce w jamę.

Za chwilę wyciągnął z ziemi wilgotnej jakieś dość duże pudełko blaszane, okręcone rzemykiem już nadgniłym.

Byłto garniec. Garniec nieszczęśliwego rzeźnika pewnie.

Garniec był ciężki, a za wstrząśnieniem wydawał dźwięk metaliczny.

— Pieniądze są w nim — rzekł Michał.

Wtedy Szymon zapalił krzesiwem kawałek drzewa smolnego i włożył w ziemię jak pochodnię.

Przy świetle tem wszyscy usiedli na ziemi, wpatrując się okiem zaiskrzonem w skarb znaleziony.

Michał podniósł wieko i wysypał pieniądze na ziemię.

Liczba podana przez Fanfreluche'a była dokładną.

Było trzy rulony po tysiąc franków, jeden banknot pięćset frankowy i pięćset franków w monecie po sto sous.

Klara Balthazar nakryła je rękami, dotykała się złota z dziką radością i potem chciała je włożyć napowrót w garniec.

— Zatrzymaj się chwilę matko — rzekł Szymon — trzeba być uczciwym.

— He? — odezwała się stara.

— Trzeba szanować wolę ojca.

— A cóż to chciał twój ojciec? — zapytała Klara głosem cierpkim i niezadowolonym.

— Mówił, abyśmy podzielili się ze starym.

— Ja nie chcę nic — rzekł Fanfreluche, który po raz trzeci ocknął się z zadumy ponurej.

— Musicie wziąć waszą część, stary.

— Mówię wam, że nic nie chcę — odpowiedział stanowczo.

— Dlaczego to?

— To pieniądze zbrodni. Nie chcę! mówię wam!

— Jeżeli ten pan ma uprzedzenie — odezwała się matka Balthazar tonem drwiącym i który zdradzał gwałtowną radość — nie trzeba mu się sprzeciwiać.

— Ależ ojcze — rzekł Szymon przychylnie — jesteście bez centa.

— To prawda; nie mam nic w kieszeni.

— A więc jak sobie poradzicie?

— Jak będę mógł — odpowiedział spokojnie.

— Więc nie przyjmiecie nawet ani kilkadziesiąt sous?

— Ani dziesięć! — a głos jego był tak stanowczy, że stara i jej synowie od tak dawna zatwardziali w zbrodni, wzdrygnęli się.

Szymon dodał jeszcze:

— Nie daleko zajść można bez pieniędzy.

— Wyżebrzę zawsze kawałek chleba, a zresztą nie daleko jestem on miejsca, do którego dążę.

— A! to prawda! idziecie do Coulanges.

— Tak.

— Jutro wyprowadzę was na drogę, a tymczasem wracajmy do domu.

Zgasił łuczywo i ciemność zapanowała dokoła.

— Wolę rozłączyć się z wami teraz — rzekł Fanfreluche. — Posiliłem się i odpocząłem sobie. Zdaje mi się, że jeszcze pamiętam drogę pod lasem, którą szedłem dawniej, a która prowadzi prosto do Coulanges. Wyszedłszy teraz, może tam zajdę jeszcze przededniem.

— W takim razie odprowadzę was — rzekł Szymon.

Stara zebrała pieniądze do garnca i wzięła go dodając:

— Chodźmy a ostrożnie, żeby nie zdybać jakiego strażnika, który mógłby być zbyt ciekawym.

— Ja pójdę ze starym — rzekł Szymon — i przy tej sposobności sprzedam zająca mielnikowi.

— Jak ci się podoba — mruknęła matka, i rozłączyli się.

Klara Balthazar z Michałem poszła w las. Stary galernik z Szymonem wyszli na rozdroże, z kąd droga prowadziła do Coulanges.

— Co to za warjat z tego Szymona! — mówiła Klara do syna swego Michała, idąc do domu. — Mało brakowało, a byłby gwałtem temu poczciwcowi Fanfreluche wpakował połowę pieniędzy.

— O tak! — odpowiedział Michał tonem drwiącym — dawno już mogłaś spostrzedz matko, że Szymon jest głupcem! Ale ty go zawsze najbardziej kochasz.

Stara nic nie odpowiedziała i szła dalej przyciskając ciągle pieniądze do siebie.

W tym czasie Fanfreluche i Szymon schodzili drogą do Coulanges.

Fanfreluche nic nie mówił, Szymon zaś rozmyślał:

— Kogo on może mieć z krewnych w Coulanges, biedny stary?! I kto wie, czy zamiast dobrze przyjąć, nie każą go zamknąć?

Ale nie śmiał tego podejrzenia wyjawić towarzyszowi.

W godzinę przybyli na koniec lasu, na brzeg pagórka pełnego winogradu, z którego prosto schodzi się do l'Yonny.

— Zdaje mi się, że już dnieje — odezwał się Fanfreluche.

— Nie jeszcze — odrzekł Szymon.

— Wszystko jedno. Teraz już sam trafię i ty możesz wrócić.

— Nie — odpowiedział Szymon — chodźcie ze mną do mielnika, który kupuje moją zwierzynę.

— Gdzież to?

— Tam, na dole, koło rzeki. Dobry to człowiek i milczący. Można mu zaufać w potrzebie, a zresztą osuszymy się trochę, bo deszcz pada ciągle i napijemy się cośkolwiek.

— Jak chcesz — odrzekł Fanfreluche, który tak był zmęczony, że chwiał się na nogach.

Szymon poprowadził go ścieżką pomiędzy winogradem i w pół godziny potem wyszli na łąkę koło rzeki.

Młyn, o którym mówił Szymon, był zdala od innych mieszkań.

Właściciel tego młyna był również przekupniem, nabywał wszelaką zwierzynę i znał się ze wszystkimi kłusownikami w okolicy.

Jeszcze nie całkiem się rozwidniło, gdy Szymon ze starcem przyszli do młyna. Młyn już był w ruchu, a mielnik siedział za stołem i zajadał jakąś polewkę.

— Przybywasz w dobrą chwilę — rzekł do Szymona, który rzucił zająca na stół — właśnie potrzebuję zwierzyny do Auxerre. Czy nie masz czasem przepiórek?

— Będę miał dziś wieczór.

— Co chcesz za zająca?

— Cztery franki.

— To drogo.

— Jak się wam podoba.

Młynarz zapłacił cztery franki, spojrzał ciekawie na galernika, dał im po szklance wina i w pół godziny potem wyszli z młyna.

— Ojcze — rzekł wtedy Szymon do starca — nie chciałeś przyjąć pieniędzy tamtych, ale nie odmówisz mi i weźmiesz te.

I włożył mu w rękę dwie sztuki monety po czterdzieści sous, które dostał od młynarza.

Fanfreluche wziął je, a łzy zabłysły mu w oczach.

— Jesteś dobrym chłopcem — odrzekł. — Dziękuję ci... i żegnam...

I opuścił Szymona, podążywszy spiesznie dalej w kierunku Coulanges.

— Gdzie on tak idzie do djabła! — mówił do siebie Szymon, i długo ścigał go oczyma przy wschodzącej jutrzence.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

WDOWIEŃSTWO ALINY.

(Ciąg dalszy)

— Przybył jakiś pan i czeka w czytelni — zameldował z ukłonem do samej ziemi, elegancki, wyfryzowany młodzieniec, który jest dziś prawdziwą ozdobą hotelów pierwszorzędnych, chociaż nosi skromne miano „pierwszego posługacza“.

— Jakiś pan czeka na nas? — Alina powtórzyła nadzwyczaj zdziwiona, gdyż nikogo w Rzymie nie znały i nie przyjmowały. Wpatrzyła się pytająco w panią de Vesore, która to bladła, to rumieniła się naprzemian.

— Wielki Boże! — pomyślała — on że to już przybył?!

Wypadki w takim razie następowały by po sobie bardzo szybko. Nie była jeszcze przygotowana stawić im czoło.

— W czytelni? — wyjąknęła, aby zyskać na czasie.

— Zobaczmy kto też to taki? — odrzuciła Alina najspokojniej. — Idę...

— Nie! nie! nie idź! — zawołała hrabina. — Zawcześnie! o wiele zawcześnie! — westchnęła w duchu

— Tak bezczelnie na nią napadać, zanim ja mu drogę utoruję... warjat, skończony warjat!...

Przepadła cała misterna budowa ułożonego przez nią romansu, skoro główni bohaterowie chcą działać bez jej porady!

Stały właśnie na środku dużego dziedzińca, w kwadrat zabudowanego. Na około biegły szerokie galerje, z arkadami z ciosowego kamienia, ubrane klombami kwiatów, pełne wygodnych kanapek, fotelików i stoliczków marmurowych. Był to rodzaj promenady na pół sklepionej, na którą wychodziły okna salonu, czytelni, sal jadalnych i fajczarni hetelowej.

— Jest ot tam Signora Comtessa — wskazał jedno z okien il cameriere, dyskretnem oka mrugnieniem. W oknie otwartem ukazał się istotnie ktoś, o postawie wysokiej, imponującej... ale nie Gaston.

— Czy to podobna?! Szasza! — krzyknęła pani de Vesore, wolniej odetchnąwszy.

Alina drgnęła i zmieniła się na twarzy. Jej pomięszanie nie uszło uwadze księcia Druckoj, który już się był z niemi złączył.

— Jak traci równowagę! — pomyślał. — Wiedziałem, byłem przekonany, że jest moją! i wpoił w nią wzrok płomienisty, pod którym mimowolnie spuściła powieki. Ileż już razy spotkała się z tym wzrokiem, który jej zawadzał i drażnił, przed którego napaścią uciec się starała, który zdradzał aż nadto wyraźnie myśl brutalną:

— Będzie do mnie należała... prędzej, czy później!..

Te jej uczucia nie mieściły w sobie nic prócz lęku nerwowego, prócz nieokreślonej jakiejś wstydliwości, próżność jednak i łatwość zwycięstw, której aż dotąd doświadczał książe, w którąkolwiek stronę uderzył, kazała mu to inaczej tłumaczyć. Widział w tem pociąg nieprzeparty, rodzaj oczarowania, a rumieniec szkarłatny, który w tej chwili twarz Aliny oblewał, robił prawdopodobnem przypuszczenie.

— Nadaremnie przybrała minę surową i zagniewaną. Udaje! — myślał w duchu, znając się aż nadto dobrze na tej walce wstydliwości z namiętnością, w której niestety ta ostatnia zwykle odnosi zwycięstwo.

— Szasza! — powtórzyła hrabina osłupiała, ciągnąc brata czemprędzej po wschodach do swojego apartamentu, aby ludzi obcych nie wcielać w to powitanie familijne. — Jakto? Nie wracasz więc już do Rossji?

— Wracam... tylko drogą najdłuższą. Obecność moja nie jest tam niezbędną, podług ostatnich wiadomości, w liście odebranych. Krótko mówiąc, słusznie czy nie, pozwoliłem sobie małej po świecie włóczęgi.

— Byłeś jednak tak dalekim od tej myśli, gdyśmy odjeżdżały! — wykrzyknęła naiwnie hrabina.

— Może... — szepnął książe, patrząc z pod oka na Alinę, która głowę odwróciła, czego w chwilę później szczerze żałowała. Lepiej było wcale nie zrozumieć tego może, podkreślonego umyślnie dla niej.

— Zamierzałeś więc zrobić nam niespodziankę? Dla czegoż nie prosiłeś raczej o pozwolenie towarzyszenia nam od razu?

— Któż wie, czy byłbym takowe otrzymał! — książe uśmiechnął się figlarnie i pieszczotliwie. — Wypędzić mnie skoro raz tu jestem, byłoby trudniejszem cokolwiek zadaniem.

— Co za chytry i podstępny Moskal! — zasyczała przez długie zęby miss Ruth, która weszła w tej chwili do pokoju i skamieniała na progu z oczami wytrzeszczonemi, z ustami na pół otwartemi, nie będąc w stanie w swojej brutalnej szczerości, zdobyć się aby na jedno słowo powitania dla księcia, nadskakującego jej z grzecznością wyszukaną, choć cokolwiek ironiczną.

— A więc — przemówiła do Aliny trochę później, pomagając jej w przebraniu się do obiadu — ten szatan wcielony aż tutaj nas prześladuje! Będzie mieszkał pod jednym dachem i będzie od nas jak cień nieodstępnym!

— Dla czegoż go miss nazywasz wcieleniem szatana? — spytała Alina lekceważąco, nie chcąc się przyznąć, iż podziela obawy aż nadto widoczne, swojej poczciwej, starej przyjaciółki.

— Bo nigdy prawdy nie mówi, bo kusi i tumani świat cały! bo... bo... nienawidzę Moskali! — odpowiedziała Angielka, drżąc z gniewu.

— Tak to co innego! Ależ to aż nadto słuszne powody!

I Alina parsknęła śmiechem tak szczerym i wesołym, że miss Ruth trochę uspokojona mruknęła z cicha:

— Czy ja tylko nie przesadzam.. może nie jest znowu dla niej tak niebezpiecznym?

— Cóż cię za kaprys nowy napadł? Po coś pędził aż tu za nami? — powtarzała bratu po raz dwudziesty pani de Vesore, wpijając w niego wzrok badawczy, zaostrzony przez pince nez historyczne, z miną wielce zakłopotaną. Fizjonomia atoli księcia wytrzymywała ten atak stoicznie. Uśmiech zadowolenia z ust mu nie schodził, z najwyższą flegmą i spokojem niewzruszonym, skręciwszy wonne cygaretto, puszczał pod sufit dymek niebieskawy. — Sam djabeł się tu wmięszał! — w duchu dodała. — Jego obecność wszystkie nam plany pokrzyżuje, jeżeli jest w niej zakochany... a czyż mogę teraz o tem wątpić?

Cały wieczór była wyłącznie tą jedną myślą zajęta. Książe prawie sam jeden rozmowę podtrzymywał. Noc przepędziła bezsennie, rano atoli siedząc przed źwierciadłem, błysnęła jej w głowie nowa kombinacja, do której uśmiechnęła się wesoło.

— Tak! — szepnęła. — Djabeł się wmięszał, ale to może dla nas i najlepiej! Tego komparsa byłoby mi właśnie brakowało! Najlepszym bodźcem jest zazdrość. Znam ja panów! Działa na nich, jak ostroga wepchnięta w bok najleniwszemu rumakowi! Skoro Gaston zobaczy, że jego żona nie jest opuszczona, przyjdzie tem łatwiej do opamiętania... Ale ten biedny Szasza! A nuż mu serce pęknie z żałości?! — dodała z lekkim odcieniem ironji. — Ba! serce Szaszy! nie

znam drugiego... chyba Alberyka... któremu by z większą trudnością mógł się wydarzyć podobny wypadek! To, co on nazywa miłością, jest u niego prostem zabiciem czasu. Flirtować, latać z miasta do miasta za kobietą, która mu się przelotnie podobała, skompromitować ją troszeczkę bawiąc się samemu, oto co on potrafi! Ale cierpieć z miłości?! Nie! do tego Szasza poczciwy jest niezdolnym najzupełniej!

— Prawda, że to się na tobie nie pokaże? — spytała, wieszając się na szyi pieszczotliwie bratu, który wszedł w tej chwili.

— Cóż takiego?

— Abyś na coś w świecie zapatrywał się ze strony poważnej?

— Zaiste! — uśmiechnął się książe. — Prócz tego jednak, co się ciebie tyczy. Twoje smutki, przyjemności, a choćby kaprysy, biorę całkiem na serjo — dodał z szarmanterją, którą się nawet w obec siostry lubił popisywać i końcem ust dotknął się czoła jasnego. Całując ją i mówiąc te słowa z miną roztargnioną, popełniał znowu jedno z tych kłamstw kolosalnych, które mu tak wyrzucała uczciwa na wskroś miss Ruth. Przypominał sobie w duchu, jak on odczuł głęboko i całkiem na serjo odjazd Aliny, jak bez niej Paryż mu się pustym wydawał, jak długiemi były dwa tygodnie bez niej spędzone i jaką roskosz sprawiała mu owa tęsknota, odświeżająca go, odmładzająca, jakby mu się lat ośmnaście wróciło. Nie pamiętał, żeby kiedy w życiu pragnął czego tak gorąco, tak namiętnie! On także po tylu miłostkach prozaicznych, pospolitych, będzie miał swoją Idyllę i on znajdzie się w Arkadji! Obiecywał to sobie od dawna, a zaprzysiągł z zapałem zdwojonym, zobaczywszy tego ranka Alinę przy śniadaniu, prześliczną jak kwiatek wiosennny, w djademie z bujnych, złotych warkoczy. Była z nim nader ostrożną, po największej części milczała, był jednak najmocniej przekonany, iż jeżeli przed nim uciekła, to tak jak owa Nimfa — która musiała być do Aliny podobną — aby za nią gonił czemprędzej. I pójdzie za nią, pójdzie na koniec świata! póki nie zwycięży tej pozornej obojętności. Wiosna promieniejąca, natura cudowna, czar ich otoczenia, nie będąż jego wspólnikami... przypuściwszy, że potrzebował by pomocy... Podczas śniadania ułożono wycieczkę do Tibur. Przy tej sposobności ze zwykłą wymową opowiadał rozmaite legendy ze świata starożytnego. Zaproponował również, aby z Frascati udać się do Tusculum, do Rocca di Papa, na jezioro Nemi i poświęcić dni kilka na zwidzenie gór Albańskich.

— Myśli więc zostać tu na długo? — rzekła w duchu Alina niezadowolona, iż hrabina Olga pozwalała na ten pobyt. Wszystko w niej budziło pewną nieufność, nawet zachowanie Olgi tak dziwnie od wczoraj rozdrażnionej. Czyżby zasadzkę w koło niej przygotowywano? Młoda kobieta nie mogła nici tych intryg rozplątać, miała się jednak na baczności. Czuwał jeszcze ktoś więcej nad jej bezpieczeństwem, choć ona o tem nie wiedziała.

Przechodząc spis cudzoziemców, który wychodzi w Rzymie co tydzień, łatwo było Gastonowi odszukać hotel, w którym mieszkała pani de Vesore z Aliną. Nie potrzebował nawet wypytywać służby hotelowej, aby zbadać dokładnie tryb życia tych pań; rzecz naturalna, iż stosowały się we wszystkiem do zwyczajów przez rzymskie towarzystwo przyjętych. Odtąd wziął sobie za jedyne zajęcie, za cel w życiu, śledzić ich każdy wyjazd, wiedzieć niemal o każdym ich kroku. Czy pani d'Herblay wierzyła w jego poszukiwania całodzienne w bibljotece watykańskiej? Nie wiedział o tem i mało go to obchodziło. Miał na myśli sprawy ważniejsze, które go całego pochłaniały. Pierwszego atoli dnia, gdy gubiąc się w tłumie na Corso, czatował na pewien kocz odkryty, który o jednej i tej samej godzinie przywoził dwie młode kobiety, ukazał mu się książe Druckoj, siedzący naprzeciw Aliny, jak gdyby się ani na chwilę nie rozłączyli od owego ranka, pełnego wzruszeń namiętnych i bolesnych, gdy z okien Alberyka zobaczył ich w tej samej postawie. Byłaż to zmora na jawie?!... Jakiż szatan wymierzał mu tę karę piekielną?!... Czyżby Alina, mszcząc się na nim za obrazę doznaną, przyjechała aż tutaj popisywać się stosunkiem, w którym szukała pociechy i zapomnienia? Znany mu był cynizm elegancki, zepsucie wyrafinowane, wszystkie namiętności gwałtowne księcia. Czyż ta kobieta, wyglądająca tak dziewiczo, stała się istotnie zabawką tego rozpustnika? W takim razie nie była warta, aby jej żałował, zasługiwała jedynie na jego pogardę. A jednak ból szalony ściskał mu serce, i sobie, tylko sobie czynił srogie wymówki, iż mógł ją narazić na takie niebezpieczeństwo, iż rzucił ją na pastwę samotności i pokusom. Powóz stanął na rozkaz księcia. Widział jak skinął na piękną kwieciarkę, ofiarującą przechodniom swój kosz woniejący, wybrał kwiaty najpiękniejsze i paniom je wręczył. Olga przypięła bukiet do gorsu z odcieniem kokieterji, Alina podniosła swój do ust, aby go powąchać. Kilka listków różanych osypało się pod lekkiem jej ust muśnięciem i Gaston spostrzegł, na co Alina nawet uwagi zwracać się nie zdawała, jak książe szybko je pozbierał i schował w zanadrze. Kocz posunął się dalej w pośród szeregu świetnych ekwipaży, które dążą na Monte Pincio, w chwili dnia najweselszej, najtłumniejszej, najbardziej światowej. Gaston zaś krokiem chwiejnym jak człowiek pijany, z gniewem wściekłym w sercu, pociągnął ku willi położonej za miastem na drodze nomentańskiej. Tego wieczora ukląkł przed Blanką, powtarzał jej bez końca, iż ją ubóstwia, iż ma niemal cześć dla niej, iż w jego oczach jest wyższą o całe niebo od tych wszystkich kobiet, które śmią potępiać ją i sądy o niej wydawać. Słuchała zdziwiona ale nie mniej szczęśliwa.

— Odjedziemy — mówił Gaston — nic mnie tu już nie zatrzymuje — a w głębi duszy dodawał: — Zostawię mu Alinę, niech ją sobie trzyma! W moich

oczach jest już zhańbioną na zawsze!

Te jednak postanowienia miały tylko wykazać o jeden raz więcej, jak chwiejną i niestałą była jego wola, gdyż zaraz nazajutrz, magnes niewidzialny pociągnął go na Corso, aby się przekonać o tem, co go do rozpaczy przywodziło. Płacił szpiegów, sam się w szpiega przemienił, aby nabyć pewności o stosunkach ich codziennych, które podzielała wprawdzie pani de Vesore, ale czemże była dla niego obecność takiej roztrzepanicy! Co mógł wobec niej przypuścić najmniej hańbiącego, to to, że złe protegowała i osłaniała sobą nie rozumiejąc nawet co czyni. W jego oczach okoliczność ta nie zmniejszała bynajmniej lekkomyślności Aliny; trawiony zazdrością widział w tych stosunkach ścisłość i poufałość, o której się nie śniło nikomu. Przez dzień śledził każdy jej krok pokryjomu, wieczorem przechadzał się po pod okna otwarte, po za których storami spuszczonemi spostrzegał przesuwające się ich cienie, chwytał uchem wytężonem oderwane słowa ich rozmowy, drżał na całem ciele gdy mu się zdawało, że książe zbliża się do Aliny z zuchwałą poufałością, a jednak, jakkolwiek znosił męki niesłychane podczas tego ścigania zawziętego choć skrytego, zaczął cierpieć jeszcze więcej przez pięć dni, gdy mu zupełnie z oczu zniknęła. Odbywali wtedy ową wycieczkę, w okolice Rzymu. Spuszczone żaluzje, zupełne milczenie, brak wszelkich szczegółów z ich życia, wydały mu się stokroć gorszemi, niż sama rzeczywistość, w której szukał wrażeń coraz nowych, choć nader bolesnych. Wyobraźnia jego goniła ich przez te pięć dni z wytężeniem, które o mało zmysłów go nie pozbawiło. Gdy wreszcie zobaczył Alinę w bramie hotelowej, zdawało mu się, że wśród mąk piekielnych owiał go naraz prąd ożywczy. A jednak tuż przy niej znalazł się książe z nieodstępną panią de Vesore. Podawał ramię Alinie, które ona atoli nieprzyjęła, odmawiając nawet w tonie dość ostrym. To odrzucenie potrafiło uspokoić na kilka godzin jego zmysły wzburzone, i odpędzić mary straszne, które tworzyła sobie jego chorobliwie rozbujała fantazja. Zdawało mu się, że książe staje się natrętnym i że mu to dają dość wyraźnie do zrozumienia. Gdyby mógł być tego pewnym?... Został by, aby ją zasłonić przed napaścią impertymencką tego libertyna, bądź jak bądź, jest jego żoną, nosi jego imię, on jeden na świecie ma prawo stanąć w jej obronie... Prawo? Czyż mogłaby po tem, co zaszło między nimi, przyznać mu choćby cień tegoż najlżejszy? A przecież jest to jego świętą powinnością czuwać nad nią bodaj z daleka i trzymać się w pogotowiu, jeżeli by jej cześć lub spokój były zagrożone. To rozumowanie podnosiło w jego własnych oczach nędzną rolę, jaką odgrywał. Znajdzie może sposobność zostać jej rycerzem, jej obrońcą. Aż dotąd połykał w ukryciu wszelkie poniżenia, wszelkie niepewności najbardziej dręczące, zmuszony w dodatku wynajdywać coraz nowe powody, tłumaczenia, dla czego termin odjazdu przedłuża w nieskończoność, aby dalej oszukiwać nieszczęśliwą kobietę, która go już o nic nie pytała i do pospiechu nie nakłaniała, czekając smutna, milcząca, niezdolna do oporu w czemkolwiek, jak czeka konający chwili śmierci, chwili wybawienia i uspokojenia na wieki w katuszach nad siły. W milczeniu tem jednak zdawał się słyszeć wymówkę:

— Czegoż odemnie wymagasz? Jeżeli chcesz, żebym się na zawsze oddaliła, miej że przynajmniej odwagę rzucić mi w oczy to życzenie odtrącić mnię od siebie. Jeżeli przeciwnie moja miłość wiecznie drażniona, a jednak wierna, potrzebna ci na co, pocóż pozwalasz mi tu konać w niepewności? Gdzież mam iść za tobą? Gotowam na wszystko! czy każesz żyć, czy umierać, byle raz skończyć!

Słyszał te zaklęcia, odgadywał rozpacz w oczach od łez nabrzękłych, nie wątpił nawet, że musi domyślać się, bo potrzebowała tylko chcieć, aby dowiedzieć się o wszystkiem, a jednak przez słabość i niekonsekwencję trudną do wytłumaczenia, Gaston starał się dotąd w błędzie ją utrzymywać.

XVII.

Parno było niesłychanie tego poobiedzia. Pani de Vesore uznała za stosowne odbyć siestę. Zanim jednak położyła się na sofę, w saloniku przyćmionym żaluzjami, odpowiedziała na list męża, w wilję odebrany:

„Bądź spokojny kochany Alberyku, wszystko idzie dobrze, nie tak prędko jakbym pragnęła to prawda! znasz jednak tutejsze przysłowie: „Chi va piano“. Plącze się co raz więcej i łapie się jak mucha obmotana pajęczyną, dowód najlepszy, że dotąd nie odjechał. Nie koniec na tem! zajmuje się każdą naszą czynnością, niemal każdym ruchem, śledzi pilnie każdy krok nasz. Spostrzegam go nieraz, przyczajonego gdzieś w kącie jak kota, gdy na mysz czatuje i bawię się tym widokiem, o ile można się czemś bawić, gdy nie wolno o tem nikomu ani słowa pisnąć. Ma się rozumieć, iż dotąd mam buzię na kłódkę zamkniętą! Nie mogą wiedzieć o niczem ani ona, ani Szasza: jedno słówko, a wszystko byłoby stracone! Oboje muszą mi służyć bezwiednie za lep, aby prędzej schwytać ptaszka, na tem polowaniu w najnowszym rodzaju. Szasza jest zawsze szarmanckim — znasz go przecie! — musi okropnie tamtego niepokoić! chociaż szkoda całego zachodu! Alina nie zachęca go bynajmniej do tych zalotów, ale pozory są po temu, a to wystarcza. Jak ten biedaczysko musi się wściekać. Jak bym też pragnęła — gdyby to było w mojej mocy — wsadzić tak na rożen pewnego małżonka, dobrze mi znajomego i przypiekać go na wszystkie strony, nad wolnym ogniem z piekła przyniesionym. Są jednak ludzie, których się nic nie ima; ten małżonek naprzykład, gdyby się znalazł w podobnej tarapacie, poszedłby... gotowabym się nie wiem o co założyć!... tam gdzie ty idziesz, aby się rozerwać w mojej nieobecności: Do klubu, do pań X., Y., Z... Nie obraź się proszę temi

literami początkowemi, nie mam tu nikogo innego na myśli, prócz naszych wspólnych znajomych, na których Jours fixes zwykłeś uczęszczać i którym pozostałeś wiernym i teraz, nieprawdaż? Przypomnij mnię ich pamięci, jeżeli by przypadkiem brakło ci wątku do rozmowy, ale ci polecam najgoręciej i całkiem na serjo, uściskaj w mojem imieniu małego Szaszę tysiące razy, najczulej! najserdeczniej! zanim mnie będzie dane wykonać to osobiście. Mam wszelką nadzieję wrócić niedługo, a będzie to powrót tryumfalny! Gaston jest bliski chwili, kiedy oddajemy się rozbrojeni na łaskę lub niełaskę przeciwnika!

Wsunąwszy liścik w kopertę różową z anagramem Roma, Amor, w którym, oprócz szczegółów, tyczących się głównej sprawy, nie zapomniała umieścić kilku strzał dobrze zaostrzonych i urozmaicających zwykle ich małżeńskie pogadanki, pani de Vesore cygaretko zapaliwszy wyciągnęła się na sofce, a goniąc oczyma dymek niebieskawy, który w figlarnych kółeczkach aż pod sam sufit wydmuchiwała, przechodziła w myśli dramatyczne szczegóły owej sceny, kiedy ujrzy Gastona u nóg swoich ubezwładnionego i błagającego o litość!

— Alina jest szczęśliwszą, niż się spodziewa! — mruknęła. — Czy kto kiedy słyszał, żeby małżonek niewierny zmienił się nagle w zazdrosnego kochanka!

Powoli, powoli, powieki od gorąca ociężałe coraz bardziej opadały i w końcu na dobre zasnęła.

— Pani hrabina spoczywa i póki nie zawoła, wchodzić nie kazała — oświadczyła Alinie pokojowa, gdy weszła do przedpokoju z parasolką w ręku, proponować przechadzkę.

— Doskonale! Powiedz-że pani, gdy się obudzi, żeśmy poszły z miss Ruth odetchnąć świeżem wieczornem powietrzem! — zawołała młoda kobieta, uszczęśliwiona, że uwolni się dziś przynajmniej od kurzu i ścisku nieznośnego na Corso, gdzieby nieodwołalnie musiała towarzyszyć pani de Vesore i że będzie mogła pobujać swobodnie.

— Wielka nowina! — wpadła z niezwykłą żywością do swojego pokoju. — Mamy dziś prawdziwe wakacje, kochana miss! Olga spi i nic nam nie przeszkodzi pobiegnąć do Villa Pamphili, która o tej godzinie musi być roskosznie samotną! Prędzej! prędzej! posełaj po remizę, zanim kto oczy otworzy!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Pogadanka.

Jedna z czytelniczek „*Świata powieściowego*“ powiedziała mi wczoraj, że wolałem zasnąć zaraz na początku zeszłej pogadanki, a nie dopiero na końcu, czem oszczędziłbym był jej był wiele irytacji i czasu. Widząc z tego, że nie nadaję się wcale na sprawozdawcę balowego, choćby z tego powodu, iż w czas nie zasypiam, uwolnię Was tym razem od podobnych opisów, tem chętniej, że na razie o publicznych zabawach i tak wiele powiedzieć się nie da. Wątpię, abyście na tej zamianie co skorzystali, bo taki gderała jak ja tylko narzekać umie, a tem samem zabawnym być nie może.

Dziennik polski pisze w numerze z 31. stycznia:

„*Ruch dziennikarski w roku 1882.* Według obliczeń urzędu stemplowego wynosiła ogólna liczba nakładów dzienników politycznych w Cislitawji w półroczu pierwszem 1882 r. 54,603.386 egzemlarzy, jednego więc dnia wydano około 350.000. Najwyższa liczba przypada na Austrję niższą, bo 34,093,292 egz. W Wiedniu drukuje się więc około 200.000 egz. dziennie. Następnie przypada na Czechy 10.149,565 egz., na Styrję 2.145, 618 egz., na Morawę 1,926.805 egz., na Wybrzeże 1.617,932 egz,, na Austrję górną 1.330,622 egz., na Galicję przypada tylko 1.231,457 egz., który to kraj, biorąc na uwagę obszar jego i liczbę ludności, najmniejszy przedstawia ruch dziennikarski. W r. 1882 wzmogło się znacznie wydawnictwo krajowe, a bardzo obniżyła się prenumerata dzienników zagranicznych. W Galicji stosunkowo najwięcej prenumerują pism zagranicznych, nigdzie także nie rozchodzi się tyle kalendarzy, ile ich spotrzebowywa Galicja, która, zdaje się, nie daleko jeszcze wyszła po za literaturę kalendarzową!“

Fe! fe! panowie Galicjanie i jeszcze raz fe! Czy to się godzi, żeby o nas mówiono, iż jesteśmy najciemniejszym narodem w Austrji, najbardziej zacofaną prowincją, która najmniej czyta a najwięcej ma pretensji do cywilizacji i która nie wyszła jeszcze po za literaturę kalendarzową! Fe! panowie Galicjanie, nie spodziewałem się tego po Was! Ale nie dość na tem, spotyka Was jeszcze drugi zarzut, i to bardzo bolesny, że zamiast wspierać własną literaturę, zamiast podawać środki i możność kształcenia się młodym talentom, gdy każdy krajowy dziennik z braku poparnia ginie zwykle na suchoty, Wy prenumerujecie zagraniczne pisma, które Was szkalują na każdym kroku, smieją z Waszej dumy i pretensji i uważają za pół-Azjatów!

Et! lepiej o tem nie pisać, bo zbyt to boli i gniewa, a pozostanie grochem o ścianę. Wiele już o tem mówiono i pisano, Wy jednak zawsze idziecie dawnym torem.

Gdy o torze mowa, nie od rzeczy może będzie wspomnieć coś o tramway'u. Dużo by o tym pruskim panu dało się powiedzieć i nie jedno „prusactwo“ mu zarzucić, ja jednak tylko wspomnę o jednej rzeczy, obchodzącej każdego z pasażerów. Czy zmusza Cię kiedy potrzeba łaskawy czytelniku do jazdy tym wehikułem? Jeżeli nie, to możesz się zaliczać do szczęśliwców. Zdaje mi się, że arka Noego, gdy zatrzymała się na górze Tabor, musiała być czyściejsza od naszych wozów tramway'owych!... Gdyby nie było to tak... ryzykowne, zaprosiłbym Cię do przekonania się namacalnie, jak w stołecznem mieście Lwowie wyglądają tramway'e. Już sam wygląd zewnętrzny tego obryzganego błotem i zabrudzonego wozu tylko odważnego może zachęcić do zaawanturowania się w jego wnętrze,. no, a wewnątrz.... to lepiej nie opisywać! Czy magistrat, tyle znany ze swej sprężystości nic by na ta poradzić nie umiał?

Mnie się zdaje, że w te wehikuły przedpotowe najlepiej by zapakować cały magistrat wraz z tymi Galicjanami, o których mówiłem wyżej i wszystko to razem wytransportować między Zulusów, by ci ich nauczyli choć abecadła cywilizacji.

Kwik-kwak.

Do dzisiejszego numeru dołącza się karta tytułowa i spis rzeczy ostatniego rocznika.

Redaktor-Wydawca: W. Maniecki.